

Relacja z wejścia na Jbel Toubkal

Wstęp

Sam pomysł Maroka wpadł przypadkiem, ideą było wybranie się zimą gdy u nas pogoda nie zachęca, gdzieś gdzie jest ciepło i wygrzać na plaży. Początkowym celem była Teneryfa, jednak zanim zebraliśmy się z decyzją kupna biletów osiągnęły one już dość wysokie ceny. Na miesiąc przed wylotem na szybko poszukując jakiegoś kraju w cenie do 500zł poleciliśmy w końcu po sąsiedzku do Maroka. Co tam można robić poza leżeniem na plaży? Ano, jak już tam będziemy to oczywiście trzeba zaliczyć najwyższy szczyt tego kraju a tak się składa, że jest on przy okazji najwyższym szczytem także Atlasu i całej Afryki północnej. Oryginalna pisownia nazwy góry to Jbal Toubkal (wymowa Dźbel Tubkal), choć ze względu na trudną do zapamiętania nazwę spotyka się wiele modyfikacji i także błędów. Nawet oficjalna angielska nazwa jest przekręcona w stosunku do oryginału – Jebel, spotyka się też Jabal. Zawsze jestem zwolennikiem oryginalnych nazw, stąd szczyt w relacji nazywam jego poprawnym piśmiennictwem. Jbal Toubkal z wysokością 4167m n.p.m. stanowi obecnie najwyższy szczyt Atlasu Wysokiego, Maroka oraz całej Afryki północnej. Więcej informacji o szczycie, zrzut drogi z GPS oraz informacje praktyczne można znaleźć na www.elbrusexpedition.wiktor.booo.pl w dziale Atlas Wysoki 2012.

Dzień 1 – 6 marca 2012 (wtorek), – Z Marakechu do Imlil

Na samym środku placu Jemaa el-Fna w zatłoczonym centrum Marakeshu zagadujemy taksówkarza za ile by nas zawiózł do Imlil. Niestety nie kursują tam żadne bezpośrednie autobusy a z tej miejscowości zaczyna się trekking w Atlas. Zapytany o miejscowość rzuca cenę – śmiejemy się, pyta za ile chcemy jechać, po naszej propozycji on się śmieje. Nic tu nie wskóramy, idziemy dalej, ale nie przeszliśmy 50m gdy podjeżdża do nas i zgadza się na naszą propozycję. Załadowaną w siedem osób taksówką, z upchanymi w bagażniku małymi plecakami powoli klekoczymy się na miejsce. Zmieniłem zdanie o starych mercedesach. Ten tutaj ma już ponad 700 000km przebiegu a ciągle jeździ.

Po niecałych dwóch godzinach wysiadamy w górnej części miasta i niemal od razu zostajemy obsypani lokalnymi biznesmenami proponującymi nam przeróżne rzeczy. Dowiedziawszy się, że idziemy na Tubkal mówią o bardzo złych warunkach i natychmiast proponują sprzęt do wypożyczenia, inaczej nie wejdziemy. Wypożyczenia raków średnio kosztuje 40dh (4€). Inny oferuje muły dla nas i naszych małych plecaków, bo do stóp góry bardzo daleko. Każdy chce, żeby wejść do jego sklepu i tylko popatrzeć. Znają po angielsku dosłownie kilka zwrotów ale wystarcza to im w zupełności. Z ulicy przekrzykujemy się z jakąś polką siedzącą z lokalnym przewodnikiem w małej knajpcie na piętrze. Mówi, że przyjechała tutaj z dwójką kolegów ale z Toukbała zrezygnowali z powodu śniegu i ciężkich warunków o tej porze roku. W Polsce mają znajomego przewodnika górskiego, który usłyszawszy o ich zamiarze odesłał ich do tutejszego przewodnika. Nie wiem, czy Ci tutejsi sklepikarze ją tak nastraszyli, czy faktycznie jest tam tak ciężko. Ona została w wiosce a jej koledzy poszli na mały trekking na okoliczne górki. Idziemy w górę powtarzając wciąż te same słowa: nie dziękuję w końcu

po paruset metrach wioska staje się mniej zabudowana i bardziej spokojna. W zasadzie nie wiemy dobrze w którą stronę iść. Wchodzimy na wąską dróżkę, potem na ścieżkę, trochę błądzimy i zamiast trzymać się cały czas prawej strony zбочa obniżamy się, przechodzimy przez rzekę i kolejną wioskę *Aroumnd*, na szczęście za zabudowaniami dwa szlaki łączą się w jeden i od tej pory tylko wąskie ścieżki chwilami mogą zmylić drogę. Szlak jest jednak bardzo łatwy do rozpoznania. Tak jak w Himalajach ważna turystycznie trasa jest naznaczona kupami jaków, tak tutaj jeśli z oczu znikną nam kupy mułów, to znaczy, że zбочyliśmy z drogi. Transporty są tutaj dość częste nawet o tej porze roku. Część dostaw to oczywiście utrzymanie schronisk, ale zdecydowana większość wiezie plecaki mniej ambitnych (i bogatych), zdobywców. Nam na plecach wisi jedynie lekki bagaż podręczny na który pozwalają wszystkie tanie linie lotnicze.

Po około 4km skalistego, dobrze oznaczonego kupami szlaku dochodzimy do wioski zaznaczonej na mapie jako mniej więcej w połowie drogi. *Sidi-Chamharound* jest położone u źródeł małego potoku *Assif* przeradzającego się później w szerszą rzekę. Zatrzymujemy się w małej knajpce na lokalną herbatę. Poza lokalnymi przysmakami można tu też kupić Coca-Colę. Zabawne, ciekawe, czy jest jakieś miejsce na Ziemi gdzie są jacyś turyści i ten napój nie dotarł? Gdzie się nie ruszę tak czerwona butelka, lub też puszka jest nieodłącznym elementem każdego, nawet najbardziej obskurnego sklepiku, od Afryki po Azję. Po godzinie ruszamy w dalszą drogę do schroniska, na trasie naszego przejścia mijamy jeszcze kilka mniejszych stoisk z pamiątkami, kamieniami z gór i napojami. W sezonie turystycznym mają pewnie większy obrót, choć nawet o tej porze roku na brak kupców pewnie nie narzekają. W końcu w oddali widać już koniec doliny i kilka niepozornych budynków zbudowanych z wszędobylskich kamieni i schowanych w cieniu wielkiej góry. Zegarek przy schronisku stopuję z licznikiem 10,43km i jeśli dalej wierzyć GPS w suunto to jesteśmy na 3193m n.p.m. (703hPa). Po lewej stronie widać stromą śniegową ścianę i początek wejścia na najwyższy szczyt Atlasu.

Muflon i Neltner to arabskie oraz francuskie schroniska na miejscu naszego noclegu. Muflon: cena za nocleg jaką zażyczył sobie pan w recepcji wynosiła 100DH (10€), ale zorganizowawszy się w grupę 8 osób udało nam się wynegocjować 80DH (8€), od osoby. Wszystko fajnie ale za dodatkowy koc (bo śpiwory się nam w bagażu podręcznym nie zmieściły), policzyli nas i tak 20DH (2€), więc wyszło na to samo. Ceny żywności za to są kosmiczne. Niesamowicie ciężko dogadać się z nimi po angielsku ale kwota jaką usłyszałem za pakiet kolacja + śniadanie to 240DH. Recepcjonista twierdził, że to suma bez noclegu ale nawet jeśli w cenie byłoby spanie to i tak nijak się to ma do cen w schronisku francuskim. Neltner: Pomimo, że to schronisko francuskie, to jednak z dogadaniem się po angielsku w tak podstawowym zakresie jak ceny i godziny nie było problemu. Cena noclegu wynosi 115DH, to dużo ale za to kwota za kolację to 50DH a śniadanie 35DH. Targować się raczej nie można bo ceny są na wywieszane na karteczce, ale pomimo, że drogo to jednak można się ilością jedzenia dobrze „napchać”. Smaczne za bardzo nie jest bo dostaliśmy zupę ala „co popadnie i zostanie z poprzedniego dnia”, oraz spaghetti z wegetariańskim, dwuskładnikowym sosem. Turysta głodny nie jest jednak bardzo wybredny i każdy zjada swoją porcję ogołociwszy to co postawili nam na stole niemal do zera. Do tego dostaliśmy herbatę oraz dużo małych, lokalnych chlebków, które powynosiliśmy sobie jeszcze na śniadanie.

Na Toubkal prowadzi wiele różnych dróg od prostych, trekingowych do trochę bardziej wymagających, gdzie mamy okazję wspinać się na własnej asekuracji. Obecnie sądząc po śladach jedyna słuszna droga to ta prowadząca południowym stokiem do wiszącej doliny, następnie prosto na

grań i łagodnym podejściem na szczyt. Z tej perspektywy nie wygląda to dobrze, ale w górach patrząc z płaskiej perspektywy każde zbocze wydaje się niemal pionowe, dopóki na nie wejdziemy. Jest już późno gdy wychodzę na zwiady. Powyżej schroniska przechodzę przez głęboki na kilka metrów rów (nie chciało mi się go obchodzić), i zaczynam powoli podchodzić w kierunku pozornie pionowej ściany. Po 100 metrach wspinaczki ściana nie jest już tak pionowa jak się początkowo wydawała. Podchodzę jeszcze 50 metrów w górę i nie widzę dalszych większych trudności więc zawracam. Ogólnie jest trochę stromo ale bez większych pochyłości, mogę spokojnie wydeptać w śniegu stopnie. Rano pewnie śnieg będzie zmrożony ale nawet pomimo tego wędrówka nie powinna przysporzyć problemów. Tylko ryzyko poślizgu wygląda nieciekawie, w razie takiego zdarzenia bez czekania nie mamy szans się zatrzymać a gładka, śniegowa połać kończy się ostrymi skałami. Ogólnie wedle mojej oceny raki dla doświadczonych osób można sobie darować ale czekanie lub cokolwiek innego do ewentualnego hamowania zjazdu może być bardzo przydatne.

Wieczorem skupiamy się w schronisku wokół kominka, w którym pali się parę drewnianych bali dając trochę ciepła i możliwość wysuszenia mokrych rzeczy.

Dzień 2 – 7 marca 2012 (środa), – Schronisko i szczyt

Standardy noclegowe przypominają trochę niektóre nasze tatrzańskie schroniska zimą. Wieloosobowe sale przepełnione wszelką gamą różnych zapachów z piętrowymi łózkami oraz małym oknem w ścianie albo jego zupełnym brakiem. Na łóżku wilgotne materace, które od lat nie widziały słońca. Śpiworów nie mamy bo się nie zmieściły w bagażu podręcznym więc zostaje nam ubrać się w to co mamy i przykryć pożyczonym za 20DH (2€), kocem, w którym żyją już chyba wszelkie możliwe kolonie grzybów i bakterii. Nie spałem już od 30 minut, gdy na sąsiednim łóżku usłyszałem cichy dźwięk budzika. Chwilę później mój suunto cichym pikaniem oznajmił, że już czas. Zeskoczyłem z łóżka i chciałem dobudzić resztę włączeniem światła ale to nie działało. Piętnaście minut później w świetle czołówek wciskaliśmy w siebie coś dosłownie na siłę, żeby tylko nie wyjść zupełnie bez śniadania. Wychodzę pięć minut przed resztą – muszę jeszcze poświęcić chwilę na złapanie sygnału GPS i oznaczenie schroniska, co na zegarku nie jest tak szybkie jak na turystycznym GPSie. Po drodze musiałem obudzić zaspanego araba w recepcji, bo chcąc wyjść pomacałem dobrze zaryglowane drzwi. Na zewnątrz jest zupełnie ciemno i wieje dość silny wiatr. Temperatura nie sięga jednak więcej niż cztery stopnie poniżej zera a niebo jest czyste, więc jeśli tylko ustanie wiatr zapowiada się dobra pogoda.

Podchodzę parę metrów wyżej pod schronisko francuskie i czekam aż zegarek ustali pozycję. W momencie gdy łapię pierwszy sygnał, widzę na dole czołówki reszty ekipy. Ruszamy, kawałek wyżej przekraczamy rów, który przeszedłem już wczoraj i powolnymi krokami wychodzimy coraz wyżej. Pierwszą przerwę robimy 200m powyżej schroniska na granicy pierwszego przegięcia. Powoli się rozjaśnia i czołówki przestają być potrzebne. Chwilę później w oddali na szczytach widać już pierwsze promienie słońca, zanim jednak dojdzie do nas minie jeszcze parę godzin. Wspinamy się na wschód mając przed sobą cały masyw zasłaniający słońce. Co chwilę wydaje nam się, że do siodła zostało już tylko parę metrów, jednak to tylko pozorny koniec, za którym widać jeszcze wyższe podejście. Wydaje się, że najbardziej strome podejście już za nami ale na wysokości 3600 m czeka nas jeszcze

jedno mocne wbijanie butów w zmrożony śnieg. Tutaj jednak ewentualny poślizg skończyłby się tylko ponownym kilkudziesięciometrowym podejściem.

Staramy się szukać śladów poprzednich ekip ale silny wiatr tak wydmuchał zmrożony śnieg, że widać je tylko momentami. Chwilami musimy nawet przerywać wędrówkę i schylić się przy mocniejszych porywach. To by było jeszcze znośne ale drobne kryształki lodu niesione przespodmuchy boleśnie bombardują wszystkie odsłonięte części ciała. Boję się, że gdy wyjdziemy na grań, będzie jeszcze gorzej ale im wyżej tym bardziej się uspokaja i gdy w końcu docieramy do końca siodła, wiatr wieje już bardzo znośnie. Jesteśmy na prawie 3900m zgodnie z mapą teraz trzeba odbić w lewo. W sumie to dużego wyboru nie ma. Przed nami siodło kończy się urwistą przepaścią a po prawej stronie drogę zagradza stroma ściana nienazwanego wzniesienia, z której co chwile schodzą drobne, pyłowe lawiny śniegowe. Pociaszamy się, że to już ostatnia prosta. Po paru kolejnych krokach dosięgają nas pierwsze promienie słoneczne, znak, że słońce weszło już ponad szczyt Toubkala. Na ostatnim postoju mija nas dwójka wcześniej poznanych studentów i jeszcze tylko parę metrów i ...staję na końcu stromego, opadającego w dół urwiska. Dna dobrze nie widać bo przysłonięte jest lekką mgłą. Za nią w odległości paru-dziesięciu metrów kolejna ściana, na szczycie której widzę czubek stalowej konstrukcji zwieńczającej najwyższy szczyt Atlasu. Zerkam na mapę ale szlak na niej kończy się tylko prostą na sam szczyt. Nieopodal dalej w stromym śniegu widać jednak dobrze wydeptaną w śniegu ścieżkę trawersującą końcówkę grani po bardziej bezpiecznej stronie. Po jej przejściu wchodzę na ostatnie niemal płaskie, pozbawione śniegu plateau prowadzące już w linii prostej do samego szczytu.

Udało się, o godzinie 10:17 stanąłem na najwyższym szczycie Atlasu Wysokiego oraz Afryki północnej – 4167m n.p.m. Dziesięć minut później dołącza do mnie Rafał, po kolejnych dwudziestu minutach docierają Marcin z Izą. Zegarek stopuję z wynikiem 4,33km i czasem 2:56h. Mamy 940m wzniesienia w stosunku do bazy. Ciśnienie na szczycie wynosi 625hPa, temperatura 4,9°C, wiatr w porywach do 30km/h. Robimy pamiątkowe zdjęcie i zaczynamy zejście, temperatura w prawdzie jest dodatnia i świeci Słońce, ale stanie na takim wietrze bardzo wychładza.

Wystarczyło tylko trochę promieni słonecznych a śnieg jest znacznie bardziej miękki i zapewnia znacznie lepsze oparcie dla butów w drodze na dół. Chwilami nawet za dobre i w niższych partiach parę razy wbijam nogę po kolano albo nawet po pas w głębszy śnieg. Tym razem drogę umyślnie sobie skracam wykorzystując śnieg i uderzamy prosto na dół w kierunku wiszącej doliny. Z góry już widać początki licznej inwazji. Będąc już niemal przy końcu drogi mijamy pierwsze komercyjne ekipy, tłumnie ruszające do góry. Dobra pogoda sprawiła, że całe zorganizowane wycieczki zebrały się do wyjścia i chyba tylko my zerwaliśmy się w nocy na górę. Wszyscy podobnie, profesjonalnie ubrani. Automatyczne raki, profesjonalne buty, uprząże, jeden turysta z pełną lonżą i przypiętym do niej czekanem. Wszyscy w kaskach. Zastanawiam się, czy spodziewają się komet, czy meteorytów spadających na głowę, bo kamienie nie za bardzo z czego mają lecieć, chyba, że nagle odwróci się grawitacja. Na czele przewodnik, za nim sznureczkiem grzecznie ekipa. Trochę dziwnie się na nas patrzą widząc dwójkę bez raków zbiegającą z góry ale my chyba jeszcze dziwniej na nich.

Po dotarciu do schroniska robimy chwilę przerwy, przepakowanie i szykujemy się do powrotu do Marakeshu. Przed nami jeszcze 10km do Imlil a już przeszliśmy 9km w drodze na szczyt i na dół. Pociaszam się, że teraz już przynajmniej będzie bardziej po płaskim i z górki.

Zakończenie

Dwa proste słowa „najwyższy szczyt” jak magnes przyciągają turystów, a tam gdzie turyści tam i rodzi się komercja. Podczas zejścia spotkałem dziewczynę z Anglii, z którą zamieniłem parę słów. Wydawała się być sama po czym z szopy nieopodal wyłonił się jej przewodnik, niosąc talerz pełen jedzenia. Poza poznanymi na szlaku Polakami, dużą rzadkością są ludzie bez przewodnika, lub co najmniej tragarza (przeważnie kilku). Co bogatsi wiozą nie tylko bagaże ale i siebie. Piszę, że dużą rzadkością, bo w zasadzie nie spotkaliśmy nikogo poza nami i nimi kto by szedł tam zupełnie indywidualnie. Tradycja chodzenia po górach tak jak robiło się to dawniej, zginęła w tym regionie niemal zupełnie. Dobrze, że w Maroko nie wpadli jeszcze na pomysł wydawania pozwoleń i nie wprowadzili jeszcze kosztownych biletów do parku. Chodzić można tu jeszcze za darmo. Całkowity koszt wyjazdu zamknął nam się w śmiesznych pieniądzach. Niecałe 500zł za bilet lotniczy tanimi liniami w obie strony + coś na utrzymanie się w Maroku ale nie są to duże pieniądze. Zachęcam do takich samodzielnych wyjazdów, tym bardziej, że Jbal jest bardzo prostą technicznie górą. Więcej informacji praktycznych oraz zrzut trasy GPS do pobrania na stronie www.elbrusexpedition.wiktor.boo.pl